

MIRO

ŚCIEŻKI BOGÓW



Łukasz Karwacki

MIRO
I
ŚCIEŻKI BOGÓW

ŁUKASZ KARWACKI



Tytuł oryginału: Miro i Ścieżki Bogów
Autor i ilustrator: Łukasz Karwacki

Redakcja i korekta: Łukasz Karwacki
Skład i łamanie: Łukasz Karwacki

Wydawca: KarwackiART
Adres WWW: www.karwackiart.com
Kontakt: lukasz@karwackiart.com

Wydanie I
ISBN: 978-83-980943-3-7

W procesie kreatywnym wykorzystano narzędzia AI pod ścisłym nadzorem i autorską obróbką graficzną autora.

© Copyright by KarwackiART, 2026. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być powielana bez zgody autora.



SPIS TREŚCI

Rozdział I	9
Rozdział II	15
Rozdział III	20
Rozdział IV	25
Rozdział V	30
Rozdział VI	36
Rozdział VII	42
Rozdział VIII	50
Rozdział IX	57
Rozdział X	62
Rozdział XI	70
Rozdział XII	77
Rozdział XIII	85
Rozdział XIV	93
Rozdział XV	98
Rozdział XVI	104
EPILOG	110
z księgi grodu	113





ROZDZIAŁ I

PIERWSZA KREW I ŻŁOTE ZIARNO

Mgła nad rzeką była gęsta i biała niczym mleko prosto od krowy. Ścieliła się nisko przy ziemi, owijając szare pnie dębów i mokre trawy, jakby chciała ukryć świat przed okiem słońca. Dziesięcioletni Miro stał na samym skraju palisady otaczającej gród. Czuł, jak wilgoć osiada mu na rzęsach i lnianej koszuli, ale ani drgnął. Prawdziwy myśliwy musiał być jak kamień, nieruchomy i cierpliwy.

Za jego plecami gród powoli budził się do życia. Słychać było rytmiczne stukanie siekiery, porykiwanie bydła wypędzanego na pastwiska i nawoływania kobiet przy paleniskach. Zapach dymu z domowych ognisk mieszał się z rześką wonią puszczy, która dla mieszkańców osady była jednocześnie matką i groźną panią.

– Miro! – niski, dudniący głos sprawił, że chłopiec podskoczył.

Odwrócił się gwałtownie. Przed nim stał Sambor, jego ojciec. Był to mężczyzna o barach szerokich jak u tura i twarzy pooranej bliznami, które opowiadały historie o dawnych bitwach z najeźdźcami z północy. Jego skórzana opończa, spięta pod szyją srebrną klamrą, lśniła od porannej rosy.

– Gotowy? – zapytał ojciec, przyglądając się synowi z uwagą. – Twoje postrzyżyny były trzy lata temu, ale dzisiaj po raz pierwszy przekroczysz linię lasu jako ten, który ma przynieść jadło, a nie tylko je wyjadać z miski.

Miro wyprostował się, starając się dodać sobie powagi.

– Jestem gotowy, ojcze. Łuk naciągnięty, a kołczan pełen.

Sambor uśmiechnął się półgębkiem, co było najwyższym wyrazem uznania, na jaki pozwalał sobie rano.

– Sam łuk nie wystarczy. Pamiętaj, że w kniei nie jesteśmy sami. Każde drzewo ma swoje oczy, a każdy strumień swoje uszy. Zanim wejdziemy w głąb, musimy pokłonić się Tym, którzy tym wszystkim władają.

Ruszyli gęsiego. Miro szedł zaraz za ojcem, a za nimi kroczyło jeszcze kilku doświadczonych wojowników. Chłopiec starał się stawiać stopy tak, jak uczył go Sambor - od pięty, lekko, by nie złamać ani jednej suchej gałązki. Las przyjął ich w ciszy. Wysokie sosny zdawały się kolumnami trzymającymi sklepienie nieba, a mech pod stopami był miękki i chłodny.

Zatrzymali się przy Świętym Gaju. Było to miejsce, gdzie drzewa rosły gęściej, a w samym środku stał potężny, stary dąb. Jego pień był tak gruby, że dziesięciu mężczyzn nie zdołaloby go objąć ramionami. Korona dębu, poszarpana przez setki zimowych wichrów, wciąż dumnie sięgała chmur.

Sambor zdjął z ramienia skórzany woreczek. Skinął na Mira.

– Twoja kolej, synu. Złóż trzebę¹. Proś o łaskę Tego, który włada piorunem, i Tego, który opiekuje się ziarnem.

Miro podszedł do korzeni dębu, gdzie w szczelinach kory bielaly kości zwierząt i leżały skorupy naczyń z poprzednich ofiar. Wyjął zza pazuchy garść złotych ziaren prosa, które dostał rano od matki. Jego dłoń lekko drżała.

– Panie Niebios, który grzmisz w chmurach – szepnął, przypominając sobie słowa modlitwy.

– I Ty, Matko Ziemi, która karmisz nas wszystkich. Przyjmijcie to ziarno. Niech nasze strzały lecą prosto, a las niech nam będzie łaskawy.

Wysypał proso na mech. Przez chwilę panowała absolutna cisza, jakby las wstrzymał oddech, oceniając dar chłopca. Nagle, wysoko w konarach, zakrakał kruk, a z góry opadł pojedynczy, brązowy liść, lądując dokładnie na dłoni Mira.

Wojownicy za nim pomrukiwali z aprobatą.



1. Złożyć trzebę – to prastary sposób na „nakarmienie” bogów i duchów. Słowianie wierzyli, że świat ludzi i świat bóstw muszą pozostawać w równowadze, a złożenie ofiary (trzeby) jest niezbędne, by zyskać przychylność potężnych sił natury.

– Perun usłyszał – mruknął jeden z nich, Żelisław, gładząc swoją siwiejącą brodę. – Dobry znak.

Zagłębiali się coraz bardziej w puszcze. Tutaj słońce rzadko docierało do samej ziemi, przebijając się jedynie złotymi włócznieami przez gęstwinę liści. Las nie był już tylko zbiorem drzew, stał się labiryntem dźwięków i zapachów. Miro czuł na karku czyjś wzrok, ale kiedy się odwracał, widział tylko paprocie kołyszące się na wietrze.

– Czy to Leszy? – szepnął do ojca, zrównując z nim krok.

Sambor nie zatrzymał się, ale jego głos stał się cichszy.

– Być może. Borowy nie lubi hałasu. Jeśli uszanujesz jego królestwo, on pozwoli ci wyjść. Jeśli będziesz niszczył bez potrzeby, wyprowadzi cię na manowce, skąd nie wrócisz nawet jako cień.

Nagle ojciec uniósł rękę. Wszyscy zamarli. Miro poczuł, jak serce wali mu w piersiach niczym uwięziony ptak. Sambor wskazał palcem na gęstwinę leszczyny. Tam, w prześwicie, stał jeleni. Był wspaniały. Jego poroże przypominało korony drzew, a skóra miała barwę dojrzałego kasztana. Zwierzę uniosło leń, wężąc.

Sambor spojrzal na syna i wskazał na jego łuk. To była ta chwila. Miro poczuł uderzenie gorąca. Powoli, milimetr po milimetrze, sięgnął po strzałę. Pióra lotek załaskotały go w policzek. Naciągnął cięciwę, czując opór drewna. Pamiętał rady ojca: „Nie patrz na zwierzę, patrz na punkt, w który chcesz trafić. Stań się częścią strzały”.

Wstrzymał oddech. Świat wokół niego zniknął. Nie było już lasu, wojowników ani strachu. Był tylko on i ten miedziany cel.

Wypuścił strzałę.

Świst rozdarł ciszę. Jeleni drgnął, ale strzała, zamiast ugodzić go w serce, jedynie drasnęła go w łopatkę. Zwierzę rzuciło się do ucieczki, znikając w gęstwinie w mgnieniu oka.

– Niech to licho porwie! – syknął Żelisław, ale Sambor położył mu rękę na ramieniu. – Pierwsza krew została przelana – powiedział spokojnie ojciec, choć w jego oczach czaił się cień niepokoju.

– Ale ranne zwierzę nie może cierpieć. Musimy je wytropić. To nasz obowiązek wobec lasu.

Ruszyli śladem kropel krwi, które lśniły na liściach niczym rubiny. Trop prowadził w stronę Mrocznego Jarru - miejsca, o którym w grodzie opowiadano legendy przy ściszonej glosie. Mówiono, że tam ziemia zapada się do samej Nawii, krainy zmarłych, a mgły nigdy nie opadają.

Miro czuł narastający ciężar w żołądku. Czuł się winny. Gdyby tylko celował niżej... Gdyby tylko jego ręka nie drgnęła...

– Ojcie, spójrz – Miro wskazał na ziemię. Ślady jelenia nagle stały się chaotyczne. Ziemia była tu rozryta, jakby zwierzę wpadło w panikę.

Sambor przykucnął, dotykając palcami odcisku racicy. Jego twarz stężała.

– To nie są tylko ślady jelenia - szepnął. – Ktoś jeszcze tu jest. I nie jest to zwierzyna.

W tej samej chwili z gęstwiny dobiegł dziwny, nienaturalny dźwięk... ni to gwizd, ni to zgrzyt metalu o kamień. Las, który do tej pory wydawał się żywy i przyjazny, nagle stał się obcy i groźny. Ptaki umilkły, a wiatr przestał poruszać liśćmi.

– Do siebie! – krzyknął Sambor, dobywając topora. – Tworzyć krag!

Zanim Miro zdążył wyciągnąć kolejną strzałę, zza drzew wylonily się postacie. Nie byli to mieszkańcy okolicznych grodów. Nosili dziwne hełmy i tarcze obite żelazem, a ich oczy lśniły zimnym, okrutnym blaskiem. Nie było ostrzeżeń, nie było żądań.

W puszczy rozpętało się piekło.

Szczęk żelaza o żelazo, krzyki rannych i zapach świeżej krwi wypełniły powietrze. Miro stał jak skamieniały, widząc, jak jego ojciec odiera atak trzech napastników naraz. Sambor walczył z furią niedźwiedzia, ale wrogów przybywało.

– Miro! Uciekaj! – wrzasnął ojciec, odpychając tarczą jednego z przeciwników.

– Biegnij do strumienia! Nie patrz za siebie!

Chłopiec chciał zostać, chciał walczyć, ale jeden z obcych wojowników zamierzył się na niego długim mieczem. Miro odruchowo uchylił się, poczuł świst ostrza tuż nad głową. Strach, pierwotny i obezwładniający, przejął kontrolę nad jego nogami.

Rzucił się w głąb lasu, przedzierając się przez kolczaste krzewy jeżyn, które rozdzierały mu skórę. Słyszał za sobą tupot ciężkich butów i obce nawoływania. Biegł, nie zważając na kierunek, goniąc jedynie resztki światła przebijającego się przez korony drzew.

Nagle ziemia pod jego stopami zniknęła.

Stoczył się w dół stromego zbocza, uderzając o korzenie i kamienie. Świat zawirował mu przed oczami - zieleń mieszała się z brązem, a huk bitwy cichł, zastępowany przez szum płynącej wody. Uderzył plecami o pień zwalonego drzewa, a w jego oczach na moment zapłonęły tysiące gwiazd.

Kiedy w końcu się zatrzymał, panowała absolutna cisza. Miro leżał na dnie głębokiego parowu. Jego łuk leżał złamany kilka kroków dalej, a kołczan był pusty.

– Ojczy? – zawołał szeptem, ale odpowiedziało mu tylko echo i szum wiatru w wysokich sosnach.

Był sam. W samym sercu puszczy, która przestała być matką, a stała się bezlitosną panią. Miro spojrzał na swoją dłoń. Wciąż zaciskał w niej ten jeden, brązowy liść dębu, który spadł na niego w Świętym Gaju. Teraz jednak liść wydawał się cięższy, a jego żyłki pulsowały słabym, złotym światłem.

Podniósł wzrok. Słońce zaczynało się chylić ku zachodowi, malując las na kolor krwi i miedzi. Wiedział jedno: noc w puszczy należy do bóstw i demonów. I jeśli nie znajdzie schronienia, jutrzejszy świt może go już nie zastać.

Zacisnął zęby, powstrzymując łzy. Był synem wojownika. I choć stracił drogę, nie stracił jeszcze ducha. Gdzieś nad nim, za zasłoną chmur, Swaróg zaczynał rozpalać gwiazdne ogniska, a Miro musiał znaleźć swoje własne.